

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[39]

## Dawne ogrody polskie.

(Dalszy ciąg).

W lat kilkanaście po urządzeniu Powązek, powstały nowe, słynne na całą Polskę ogrody: Najprzód Arkadya pod Nieborowem, później nieco Puławy w Lubelskiem i Zofiówka pod Humaniem.

usposobieniu założycieli. Ogród w Puławach przeciwnie, założony w pięknej, urozmaiconej wielu widokami miejscowości, w połączeniu z pełnemi smaku okalającemi go zabudowaniami i z nagromadzonemi w nim szacownemi zabytkami, tworzył poważną, pełną harmonii całość. W Zofiówce na koniec, podziwiamy śmiały pomysł w naśladowaniu natury, w nagromadzeniu olbrzymiej wielko-



WODOSPAD W ZOFIÓWCE.

W każdej z tych miejscowości myśl założyciela odrębne wycisnęła piętno. W Arkadyi widzimy staranie w nagromadzeniu dawnych pomników i przedmiotów sztuki, ale bez żadnego wyraźnie nakreślonego planu; — samo założenie tego ogrodu w najniewdzięczniejszem położeniu, zawierającego niby muzeum sztuk pięknych i starożytności, świadczyło o bujnej fantazji i ekscentrycznem

ści głazów, w tworzeniu sztucznych skał, wodospadów itd. Dla wykonania tego pomysłu zwożono z wielkim trudem bryły kamienne z okolicy, oraz przekopywano koryta w celu sprowadzenia wody. Wspaniały ogród pod Humaniem założony został około 1796 r. przez Szczęsnego Potockiego i nazwany od słynnej z piękności Zofii, ukochanej jego małżonki.



Ulica wysadzona drzewami prowadzi z miasta do parku; zwolna, po obu stronach drogi, coraz gęściej ukazują się drzewa, grunt zniża się stopniowo, wreszcie wступujemy w cieniłą, cudną dolinę. Na samym wstępie zjawia się przed nami wspaniała sadzawka, otoczona gęstym lasem ogromnych drzew. U brzegu, jakby zwieszona nad wodą, wznosi się obszerna altana, całkiem odkryta, dach jej wspiera się na pięknej kolumnadzie. Po samym środku tej sadzawki z odłamka skały bije wodotrysk. Olbrzymi słup spienionej wody wznosi się prosto w górę, tak wysoko, że szczytem swoim przenosi najogromniejsze drzewa nadbrzeżne. Po obu stronach sadzawki wiją się ulice pod górę, pomiędzy drzewami.

Przed oczyma naszymi roztaczają się coraz nowe widoki. Tu zapada głęboka dolina, z jednej strony rozciąga się taras obszerny, z drugiej piętrzą się skały, jedna nad drugą; wśród nich rosną drzewa okazałe, sosny i świerki, brzozy i topole, a z wysoka pędzi potok gwałtowny, rozbija się o skały, przewraca się, huczy, pokryty białą jak śnieg pianą toczy się po urwiskach, rozbryzguje o drzewa i z głuchym szumem pędzi w dolinę, gdzie już spokojnym strumykiem odpływa. Trudno uwierzyć naprawdę, że ten potężny wodospad w każdej chwili może być powstrzymany w szalonym swym pędzie z taką łatwością, jak woda w samowarze, kiedy w nim kran zakręcimy. Jest on bowiem sztuczny i równie jak wodotrysk bywa puszczany tylko od czasu do czasu.

Do innych osobliwości Zofiówki należy grota, wykuta w skale, w której woda także sztucznie sprowadzona przeciska się przez szczeliny i z osobliwszym szelestem, kroplami spada z niewielkiej wysokości. Za pokręceniem jakiegś maszyneryi, szum wzmaga się i woda obficie wpada do groty, hucząc jakby grom oddalony. Autor poematu „Zofiówka”, Trembecki wyrył na ścianie tej groty napis następujący:

Strao tutaj pamięć nieszczęść, a przyjm szczęścia wieszczę,  
A jeśli jest szczęśliwy, bądź szczęśliwszym jeszcze.

W tych wierszach częste powtarzanie głóski za naśladować jednostajny szum wody, spadającej kroplami w grotcie.

Postępując dalej, napotykamy gajk, gdzie pośród smętnych brzoź płaczących wznosi się słup z granitu, który niema zakończenia u góry, ale jest jakby przełamany. U stóp jego leży wielki odłam skały, a z nię sączą się trzy strumienie: zowią je „trzema łzami”. Ten pomnik, jak niesie podanie, wystawił Szczęsny Potocki na pamiątkę dwojga małych dzieć, które utracił.

W innem miejscu ze skały wytryska zdroj wy-

bornej wody, chłodnej i czystej jak kryształ, i spływa w miednicę kamienną. Dalej, w niewielkiej sadzawce pływają rybki czerwone i złote, a pośrodku, na maleńkiej wysepce, umieszczona jest ogromna urna kamienna, napełniona pięknymi kwiatami. Wygląda to zupełnie jak olbrzymi bukiet w również olbrzymiej doniczce.

Wreszcie, na miejscu wyniosłem, wystawionem na słońce, ujrzymy obszerną cieplarnię, napełnioną zamorskimi roślinami. Obok nię rozciągają się szpalery winnym szczepem okryte, a wyżej jeszcze obaczmy przed sobą ogromny obszar wody. Jest to zbiornik, który rurami podziemnymi zasila ów piękny wodotrysk i pieniącą się po skałach kaskadę. Po drugiej stronie ukazuje się ozdobna altana w guście chińskim, do której można się dostać przez wodę, bo ładny promik na linach uwiązany przewozi przechadzających się na drugi brzeg.

Piękność Zofiówki głównie na tém polega, że umiano doskonale we wszystkiem naśladować naturę. Nie widać tam nigdzie owych drzew powystrzyganych, poobcinanych, jakby pod sznurem. Ogromne pnie wnoszą się wspaniale, tak jakby w dzikim lesie rosły, a jednak większa ich część z niezmiernym kosztem sprowadzona była z dalekich stron świata i z wielkiem staraniem wypielęgnowana. Olbrzymie klony, jakich nigdzie niema w kraju naszym, przywieziono podobno aż z Azji, najprzód morzem, na okrętach do miasta Odessy, potem na wozach umyślnie do tego sporządzonych. Urządzeniem tego wspaniałego ogrodu zajmował się głównie Metzel, inżynier, Polak, wykończył go w przeciągu lat dziewięciu.

(D. c. n.).

## Nie wszystko złoto, co się świeci.

OBRAZEK SCENICZNY,

Przez M. . . a.

(Dokończenie).

MATYŁDA.

O... to przykróć mi się stała...

ELŻBIETA.

Tobie ?

MATYŁDA.

Pewno, i nie mała;

Tu tak smutne jest mieszkanie,

Jeśli pani tu zostanie,

Będę prosić uwolnienia.

NATALIA (do Elżbiety).

Słyszysz! już się ona zmienia!

Taka dobra, przywiązana!  
O! nie jeden od dziś rana  
Tak się pewno dla mnie zmieni!  
(*tuli się do Elżbiety z płaczem*).

ELŻBIETA.

E, nie wszyscy pozbawieni  
Są znów serca i sumienia;  
Że zaś się nie jeden zmienia,  
Nie potrzebny dowód świeży.  
(*do Matyldy*).

Jeśli ci się co należy,  
Ja wypłacę, moja panno!  
Zabierz się ztąd pocztą ranną;  
Tę półmili cię do stacyi  
Każę odwieźć po kolacyi.  
Idź, wypłacę zaraz tobie.

NATALIA (*z płaczem*).

Ale ja, cóż bez niej zrobię!  
Któż mię u was tu ubierze?  
Kto uczesze?!

ELŻBIETA.

Śmiać się szczerze

Mam ochotę z takiej troski:  
Ja zaczeszę twoje włoski,  
A w dni parę, własne ręce  
Będą warkocz plęść panience.  
Łatwo zgłębisz tajemnice,  
Które z ciebie niewolnicę  
Twój służącej dotąd czynią;  
My pomożem ci z Jadwinią.

MATYLDA.

Jażbym przecież była dłużej,  
Cóż, kiedy mi wieś nie służy.  
A hrabina, dawna pani,  
Tak mię pragnie, że już dla niej  
Muszę zrobić tę ofiarę,  
Chociaż tu mi przez lat parę  
Było przecież nie najgorzej.

NATALIA (*z płaczem*).

Odejdź! (*Matylda odchodzi nadąsana*).

ELŻBIETA.

Nie płacz! woli Bóżej  
Poddaj serce twe, siostrzyczko!  
No, już otrzyj przecież liczko;  
Nie chcę odejść cię ze łzami,  
A gdy zostać masz tu z nami,  
Musisz lepsze mieć mieszkanie,  
By nie cierpieć zbyt na zmianie,  
Więc pomyślcie idę o tém.

NATALIA.

Lecz cóż ze mną będzie potem?  
Chociaż dajesz mi schronienie,  
Czyliż mogę mieć sumienie  
Zawsze być ciężarem tobie?...

ELŻBIETA.

Damy sobie rady obie.  
Dzisiaj nie trwóż się daremnie;  
Miěj naprawdę siostrę we mnie;  
Później, z nami tu powoli,  
Gdy się przyjrzyysz naszój doli,  
Kto wie, może też z ochotą  
Drogą pracy pójdiesz złotą,  
Szczero-złotą pośród kwieci,  
Chociaż wcale się nie świeci.  
Teraz ład z mieszkaniem zrobię;  
Nie płacz! lepiej klęknij sobie...

(*Elżbieta uściskawszy Natalią odchodzi; Natalia klęka po chwili do modlitwy*).

## AKT II.

(*Ten sam pokój; Elżbieta siedzi z robotą sama; Matyldę wchodzi*).

MATYLDA.

Proszę pani...

ELŻBIETA.

Cóż się stało?

Wszak skończyłyśmy już całą  
Tę rozmowę, po kolacyi  
Każę odwieźć cię do stacyi.  
Nie chciaję żegnać dawną panią,  
Ja pożegnam cię już za nią  
Bo po trosce swojój z rana,  
Aż usnęła tam splakana (*wskazuje na drzwi*).

MATYLDA.

Chciałam tylko mówić o tém  
Że o pańskim sercu złotém  
Tyle słyszę tu od rana,  
Że choć łzami też zalana (*ociera oczy*).  
Nad modlitwą dawniej pani,  
Już ofiarę zrobię dla niej,  
Gdy i widzę przecież sama,  
Że tu pani jest jak mama  
Dla dziewczątek w jej opiece...  
To rozczuła tak dalece,  
Że dla pani dawniej w trosce,  
Już zostanę i w tej wiosce,  
Jeśli pani w tych frasunkach  
Życzy mię na tych warunkach,  
Jak u dawniej byłam pani.

ELŻBIETA.

Chętnie; lecz ja płacę tanięj.

MATYLDA.

Ha... więc chociaż do kwartału.  
Przecież zejdzie to pomału.

ELŻBIETA (*patrząc w okno*).

Dobrze; właśnie Weronika  
Idzie widzę do kurnika,  
Widzisz? tam, gdzie brzołka biała:



Idźże za nią, byś umiała  
 Pomódz tam, gdy w garderobie  
 Już robotę skończysz sobie;  
 Bo tu małe z tém kłopoty  
 Mało strojnej jest roboty.

MATYLDA (*w najwyższym oburzeniu*).  
 Ja! ja mam iść... do kurnika?  
 Żałowałabym trzewika!  
 Przykro mi to, przykro srodze...

ELŻBIETA.  
 Jednak, ja tam przecież chodzę.  
 I ty wdrożysz się pomału  
 Do zajęcia u nabiąlu;  
 Idź do stariej téj rudery...  
 Tam od rana robią sery,  
 Załóż w górę twe rękawy,  
 Poproś pani Bronisławy,  
 By wskazała ci robotę,  
 Prędko znajdziesz doń ochotę.

MATYLDA  
 Ja!... ochotę robić sery!...

ELŻBIETA.  
 Nie chcesz?... Idź więc, gdzie te cztery  
 U bielizny są dziewczęta,  
 I bielizny część rozpięta,  
 Każ tu przyjść dziewczynie której,  
 Sama za nią zawieś sznury.

MATYLDA (*po chwili milczenia*).  
 Pani żartem mówi chyba,  
 A ja milczę już jak ryba,  
 Bo i nie wiem, co rzec w końcu;  
 Przecież trudno stać na słońcu  
 Bez antuka czy umbrellki,  
 No, bez parasolki wszelkiej!  
 A znów z parasolką w ręce,  
 Choćby przy największej męce,  
 Niechaj pani sama przyzna,  
 Nie da wieszać się bielizna!  
 Przykro to powiedzieć srodze,  
 Nie do tego ja się godzę!

ELŻBIETA.  
 A więc zajęć dla cię niema;  
 Że zaś próżno się nie trzyma  
 Ani jednej tu dziewczyny,  
 Przeto, wracaj do hrabiny.  
 Już kazałam po kolacy  
 Zaraz odwieźć cię do stacy.

MATYLDA (*n. s. odchodzi*).  
 Żarty, czyliż mi się zdaje;  
 Dziwne jakieś obyczaje.  
 JADWINIA (*wbiega*).  
 Liziu, już Natalia wstaje!

NATALIA (*wchodzi za nią*).  
 A nie wstaje, bo już wstała!  
 A to gospodyni mała! (*ściska Jadwinę*).  
 Napłakawszy się jak dziecię,  
 Przespałam się należycie.  
 Pierwszy sen to w mém mieszkaniu,  
 I na nowém mém posłaniu,  
 Słaném Lizi rączką miłą:  
 Zgadnij też, co mi się śniło!

ELŻBIETA (*patrząc na nią*).  
 Nieżle po tym śnie wrażenie,  
 Więc nie przykrém i marzenie...

NATALIA.  
 Starzec śnił mi się sędziwy,  
 Prawił długo różne dziwy;  
 Że ja dotąd przy majątku  
 Mało miałam i rozsądku,  
 I nauki i rozwagi,  
 To też dzisiaj prawdzie nagięj,  
 Rzeczywistej grozie życia,  
 Co wśród łódki méj rozbicia  
 Jawi mi się straszną marą,  
 Boję się w twarz spojrzeć...  
 (*kryje twarz na ramię siedzącej Elżbiety*).

ELŻBIETA (*obejmuje ją*).  
 A ten starzec, to marzenie,  
 Ma na imię: doświadczenie.

NATALIA.  
 Podobno...

ELŻBIETA.  
 A więc żywo!  
 Patrz starcowi w twarz sędziwą!  
 (*podnosi leżący dotąd na podłodze telegram*).  
 Ten papieru świstek błahy  
 Stworzył wszystkie twoje strachy,  
 I sędziwy sen proroczy;  
 Spojrz-że marom prosto w oczy,  
 A wnet zniknie groza zmiany  
 Tém straszniejszej, że nieznanej,  
 Lecz zesłanej z woli Bożej...  
 (*pokazując telegram Natalii, Elżbieta spogląda nań samą  
 i zaczyna czytać z zajęciem*).  
 (*wchodzi Matylda z karafką wody*).

ELŻBIETA.  
 Naciu, to cię nie zuboży!  
 Żle czytałaś to nie Goldman,  
 Ale bankier Wilhelm Foldman  
 Znikł, a z nim mój mająteczek,  
 Mój, i moich dwóch dziewczeczek,  
 Dwóch sierotek, którym trzeba,  
 Prócz nauki, teraz... chleba!  
 (*Natalia porywa telegram, ogląda go i odczytuje*).

NATALIA.

Prawda!... dziwnie czasem bywa:  
Jakżeś strasznie nieszczęśliwa!...  
(*rzuca jej się na szyję*).

ELŻBIETA (*zamyślona*).

Strasznie... tak znów nie, kochanie,  
Póki jeszcze zdrowia stanie;  
Właśnie myślę... (*przystępuje do biurka i pisze*).

MATYLDA (*do Natalii*).

Więc wrócimy  
Do stolicy na czas zimy?  
W takim razie zostać moge!...

NATALIA.

Do hrabiny śpiesz się w drogę!  
Nic nowego się nie stało,  
Wszystko będzie, jak być miało,  
Choć jam łatwa do urazy,  
Znieść potrafię i obrazy,  
A zostanę tu rodzoną,  
Ukochaną, rozpieszczoną,  
Nieodstępną już siostrzyczką.  
Wszak należność masz z nadliczką,  
Idź! (*Matylda odchodzi*).

ELŻBIETA.

Nie bójże się, moje życie!  
Bo ty widzę płaczesz skrycie  
Znowu tak, jak wprzód nad sobą,  
Kłopot z tkliwą tą osobą!  
(*ściska Natalię*).

A to wszystko bez potrzeby,  
Patrz! (*pokazuje list, który pisała*).

Gdy wrócą ludzie z gleby,  
Poślę list ten do sąsiadki,  
Któręj mąż tak ceni kwiatki,  
I mąż wiedzę ogrodniczą,  
Że aż u mnie tu się ćwiczą  
Właśni jego ogrodnicy,  
Bom już sławna w okolicy;  
Wypowiadam ja w tym liście  
Całą prawdę oczywiście,  
Z czego w końcu to wynika,  
Że chcę miejsca ogrodnika,  
Które u nich jest do wzięcia.  
Dobra wielkie, moc zajęcia,  
Ala znaczna i zapłata.  
Nie zaginę ja wśród świata;  
Nie płacz, siostró ukochana!

NATALIA.

Co ja przeszłam dziś od rana!  
Najprzód zbójcy!... Nie wiesz może,  
Że ja pustki w twoim dworze  
Wzięłam, przebudzona z rana,  
Z życiem twém nieobeznana,

Za napaści jakiejś skutki!...  
I miałam ztąd ciężkie smutki!

ELŻBIETA (*ze śmiechem*).

Co?...

NATALIA.

Doprawdy! Potem we dwie  
Na śniadanie, z trudem, ledwie,  
Świat zwiedziwszy...

ELŻBIETA

Na mą sławę  
Wybrałyśmy polską kawę!

NATALIA.

Potem przyszedł ten telegram,  
I ja choć komedyi nie gram,  
Wśród rozpaczey mój gorącej,  
Pogardzona od służącej,  
Za ten pocisk losu ostry,  
Mam w nagrodę serce siostry!  
(*ściska Elżbietę*).

ELŻBIETA.

A po wielkiej tej rozpaczey,  
Popatrzywszy w świat inaczej,  
Ujrzałyśmy, któż zaprzeczy,  
W innem świetle wiele rzeczy.

NATALIA.

A gdy rzeczy się zmieniły,  
Ujrzałyśmy więcęj siły...

ELŻBIETA (*całując ją*).

W tym, kto nawykł już do walki,  
Niż w tym, kto się bawił w lalki.  
Rzecz to prosta, naturalna;  
Ech, zobaczysz, jaka walna  
Będzie ze mnie ogrodniczka!  
Kto wie, może i siostrzyczka  
Ta nieradna, ta splakana,  
Tyle cierpiąc dziś od rana,  
I nad sobą i nademną,  
Łzy wylewa niedaremno;  
Może wspomni sobie kiedy,  
Te dzisiejsze swoje biedy,  
I uzbroi się do walki,  
Uprzykrzywszy sobie lalki.  
Wtedy ja już z ogrodnictwa  
Przyjdę wcale do dziedzictwa;  
Będę sadów mieć obszary,  
Robotnika w nich bez miary,  
Kwiatne państwo tu założę,  
I najpierwszą szkołę może,  
Wielką szkołę ogrodniczą,  
Jakich w świecie wiele liczą;  
To jest wieczne me marzenie.



NATALIA.

I ty roisz snów spełnienie  
W chwili, kiedy cios straszliwy  
Skosił snów twych kwietne niwy?

ELŻBIETA

Tak; i to jest zysk prawdziwy,  
Z każdej sztuki czy nauki,  
Że gdy czarne losów kruki  
Zgnębionego już napadną,  
On rozpaczą niezaradną  
Sił ostatnich nie roztrwoni,  
Lecz na skrzydłach wzłata z toni!  
Na tych skrzydłach, jakie stwarza  
Wierna służba u ołtarza,  
Jego sztuki czy nauki,  
I rozpędzi niemi kruki;  
Temi skrzydły, które rosła  
Młodocianych marzeń wiosną!  
W ideałach nasza siła!

MATYLDA (*wchodzi znów z telegramem*).

Dzisiaj szkuta się rozbiła  
Z telegramów torbą całą.

ELŻBIETA.

A tam co się znowu stało?

NATALIA.

Czytaj, Liziu, ja... niemogę.

ELŻBIETA (*przeczytałwszy*).

Porzuć, siostró, łzy i trwogę,  
To nie Goldman ani Foldman,  
Tylko jakiś inny Oldman,  
Który nic nas nie obchodzi,  
Gdzieś ulotnił się dobrodziej;  
To pomyłka prosta była.

NATALIA (*rzuca się na szyję Elżbiecie*).

Liziu! żkąd ci taka siła?  
Złe i dobre jabym chciała  
Też tak znosić, lecz drzę całą...

ELŻBIETA.

Zostań u mnie na nauce!

MATYLDA.

Proszę pani...

NATALIA (*znieczierpliwiona*).

Ja nie wrócę

Do stolicy na czas zimy,  
Zbójcom *tu* się obronimy,  
Zbójcom-nudom! Wieś mi służy!  
Być w niewoli nie chcę dłużej,  
Nie chcę igrać tak, jak dzieci,  
Z grozą życia pośród kwieci,  
Choć nie jestem znów ubogą,  
Starczę sobie bez nikogo!

Praca siły we mnie wznieci,  
Nie to złoto, co się świeci,  
Dosyć wiejskiej mi dziewczyny,  
Ty idź już do swęj hrabiny!

(*Odwraca się*).

## SPEŁNIONE ŚLUBY.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

przez M . . a.

(*Dalszy ciąg*).

— Wypędzają ich na pierwszym wstępie na naszą słynną z gościnności ziemi! A oni nieśli nam błogosławieństwo!

— Gość w dom, Bóg w dom! takie nam nieśli błogosławieństwo! A tu ich wypędzają! Zgroza i strach na ziemię, nie szanując gości!

Takie szemrania dały się słyszeć wśród oburzonych na księcia tłumów, nikt nie śpieszył dalej w głąb zamku do uczty, w oknie zamkowym ukazywała się raz po raz gniewna twarz samego księcia zapewne, który musiał szemrania dosłyszeć i wzburzenie widzieć; straż spoglądała, to na owe okno, to na lud, nie wiedząc co czynić, i kto wie do czego byłoby przyszło w ów dzień radosny i uroczysty, gdyby dwaj chrześcijanie, unikając zamieszania, nie uszli byli co prędzej, chroniąc się z przed oczu ludu. Wistocie, po ich zniknięciu, wysłany od księcia starosta zamkowy, zręczną mową i powitalną czarą miodu w imieniu księcia do ludu wypita, prędko uspokoił wzburzenie, i uczta wielka rozpoczęła się obrzędowo wedle zwyczaju.

Nie obeszło się jednakże bez tego, aby zamkowi goście nie czuli ukrytego w duszach żalu, a nawet urazy do księcia, choć szanując dzień uroczysty, postanowili nie pokazać tego zbyt jawnie. Wszyscy po cichu uznawali się obrażonymi dotkliwie w osobach owych dwóch gości, wraz z wszystkimi przybyłych i z pośród innych wygnanych. Wyrazy: „Gość w dom Bóg w dom“, powtarzano co chwila, upodobawszy je sobie, jako malujące dosadnie a krótko krajowe przekonanie o błogosławieństwie, wstępującem w progi domu wraz z gościem. Postać Ansgarego sprawiła przytém pewne wrażenie na tłumie. Pocichu więc ułożono natychmiast, że nie można pozostawiać poważnych gości pod złem wrażeniem tego, co zaśzło na zamku, i przed ucztą jeszcze kilku Polan pogoniło za cudzoziemcami z zamiarem przeproszenia ich i ugoszczenia, aby przez to gniew bogów odwrócić od słynnej z gościnności, a na ten raz tak niegościnną krainy.

Tymczasem w głównej zamku komnacie, odby-

wał się obrzęd postrzyżyn uroczyste, w obec rodziny książęcej, kapłanów, i narodowej starszyny, a na dole u stołów i wśród służby z cicha lecz ogólnie gwarzono, potrząsając głowami, że to co się stało, bardzo źle wróży dla młodego księcia, na którego cześć ucztowano tak wspaniale:

— Zamiast tój wspaniałości—mówił lud—zamiast tych niezliczonych całkowitych dzików, żubrów i jeleni, na stołach ustawionych przed nami, i tych beczek miodu ogromnych, i tych bogatych ofiar bogom sprawianych, i podarków obfitych uczynionych kapłanom, lepiej byłoby podobno uczciwie, jak bogowie każą, przyjąć tych poważnych cudzoziemców, aby ich błogosławieństwo „Gość w dom Bóg w dom“ się spełniło, i aby po błogosławili na szczęśliwe życie młodego księcia w tym dniu tak dlań ważnym! Kto wie, kim jest ten starszy z tych gości! jego błogosławieństwo może wiele znaczyć...

Tak szeptał lud, sam własnej myśli dobrze nie rozumiejąc, bo wątkiem jej były niewyraźne jakieś wieści i posłuchy, że tu i owdzie, po ziemiach różnych, zjawiają się jacyś goście, po dwóch zawsze wędrujący, którzy rany leczą, ludzi krzywdzących ich błogosławia, i szczęście ze sobą przynoszą, a ci, u których oni gościli, zowią ich *aniolami pańskimi*. Niektórzy upatrywali w nich nadprzyrodzone jakieś istoty, bóstwa niby. Powiadano też, że kiedyś tam niegościnni jacyś ludzie, ale nie Polanie oczywiście, ubili takich dwóch wędrowców, a za to nieszczęście jakieś na cały tameczny kraj padło... Któż wie, ile prawdy było w ludzkich gawędach, rozbudzonych odprawieniem nieprzystojnym dwóch cudzoziemców od bram Kruszwickiego zamku...

Wszystkiego co zaszło świadkiem i wszystkich gawęd słuchaczem był na książęcym zamku ktoś, na kogo bardzo mało przy ogólnem zajęciu zważano, jakkolwiek on za to doskonale uważał na wszystko. Był to drugi młodszy syn księcia Popiela, zwan także Chwostek po ojcu. Żwawy jak wróbel, zręczny jak mały lisek, a mądry i przebiegły jak lis stary, dzieciak ten kręcił się wszędzie, i wszystko widział i słyszał, bo był wszystkiego ciekawy. Wychowany na dworze księcia, ojca swego, który podobno z innego niż Polanie pochodził plemienia, i wcale nie był tak jak oni prostodusznie poczciwym, mały Chwostek już także zdawał się niby to oświećszym od ludu, ale oświećszym był on tylko pozornie, to jest umiał już nie wierzyć w to, w co pospólstwo wierzyło, ale jeszcze w nic lepszego wierzyć się nie nauczył, umiał już nie szanować gościnności pogańskiej i za przykładem ojca nie dbać o bóstwa, które ją nakazywały, ale nie nauczono go

też jeszcze szanować jej w imię bratniej ewangelicznej miłości; jednem słowem, umiał już drwić po pogańsku, ale kochać po chrześcijańsku nie umiał jeszcze. Biedne jego serce zaledwie czuło trochę ukochania dla rodziców i rodzeństwa, ale ani mu się śniło, żeby miało kochać lud podwładny, albo szanować obcych starców, albo nie dręczyć, lecz wspomagać słabsze od siebie dzieci i stworzenia. Że zaś dzieciak ten książęcy był swawolnik z natury, przeto przy takiem serca usposobieniu swawola jego wyrodziła się w złośliwość jakąś, która wszędzie i nieustannie szukała sobie pastwy do figłów, bardzo dla figlarza poganina zabawnych, ale częstokroć dotkliwych niezmiernie dla jego ofiar.

Rozumie się, że to, co zaszło na zamku w dniu postrzyżyn starszego brata, zajęło malca Chwostka niesłychanie. Słyszał on wszystkie ludu szemrania równie dobrze, jak i dwaj chrześcijańscy wędrowcy, a gdy ci wyszli z zamku, Chwostek pobiegł za nimi wraz z kilku towarzyszami swych zabaw, w zamiarze splątania figla, którego myśl poddały mu dopiero co zasłyszane ludu gawędy.

Dwaj chrześcijanie, uszedłszy szybko z pośród tłumu, aby go swym widokiem nie obruszać na księcia, zwolnili kroku, gdy przeszedłszy most, znaleźli się na dość osamotnionej w tej chwili drożynie, wiodącej kręto koło jeziora ku miastu. Gdyby się byli obejrzelisi poza siebie, byłiby ujrzeli dwie małe gromadki ludzi, dążące za nimi od zamku; jedną stanowiło kilku starców z poważnej starszyny ludowej, i ci podążali za uchodzącymi tąż samą drożyną, druga gromadka składała się z kilku chłopaków, którzy wskoczywszy do małej łódki, u mostu zamkowego wśród innych stojącej, wiosłowali żwawo, skracając sobie przez jezioro o połowę drogę, ku widocznym zdaleka a zwolna idącym cudzoziemcom.

W okolicy tak odsłoniętej wszyscy idący i płynący mogli się widzieć wyraźnie, jednakże starsi ludzie zajęci byli tylko swemi sprawami i nie widzieli malców, którzy przeciwnie, widząc wszystkich dobrze, śpieszyli dla tego właśnie, aby ubiedz starych posłańców narodu. Jakoż dopłynęli pierwsi do brzegu i wyskoczyli z łódki na drożynę, tuż przed nadchodzącymi chrześcijanami, i urwis Chwostek, a za nim godni jego koledzy, padli przed nimi na kolana wśród drożyny, ręce modlitewnie wyciągając:

— O cudzoziemcze! — zawołał Chwostek do Ansgarego—pobłogosław mię! i przebac niegościnność mego ojca Popiela! bo ludzie mówią, że wy jesteście aniołami pańskimi tymi, którzy w tych czasach ukazują się tu i owdzie po świecie, i że błogosławieństwo wasze szczęście przynosi, a krzy-



wda wam wyrządzona krzywdzicielowi szkodzi! Pobłogosław mię!

Złośliwy chłopak umiał przybrać taki pokorny i układny pozór, że chrześcijanom aniby przez myśl nie przeszło wątpić o szczerości kłęczącego dziecka, gdyby nieokreślone jakieś a przykre uczucie nie ostrzegło arcybiskupa. Spojrzał on w oczy dzieciakowi, a ten nie wytrzymał jego wzroku, odpowiedział mu przeto uprzejmie lecz smutno Ansgary:

— Jesteśmy tylko zwyczajnymi ludźmi, mój synu, ale błogosławieństwo nasze chętnie udzielimy pożądanemu go dziecięciu, i niechaj szczerość i prawda wstąpią z nim do duszy twojej.

Przy ostatnich wyrazach, arcybiskup Ansgary położył obie ręce na głowie kłęczącego Chwostka i wznosząc oczy ku niebu, wyrzekł uroczyste wyrazy w łacińskim języku. Ale w tejże chwili złośliwy malec pogański zerwał się z kolan i odskakując od biskupa, parsknął wrzaskliwym śmiechem, cisnął nań zarazem kamieniem ukrytym do tąd w rękawie i krzyknął:

— Dziękuję! naści dar za twoje błogosławieństwo!

Grad kamieni posypał się za tym pierwszym z rąk malców, przy wrzawliwym wtórze swawolnych śmiechów i wrzasków. Równocześnie prawie chłopaki powskakiwali napowrót do łódki i przy ciągłych śmiechach odbili od brzegu skwapliwie, uciekając na Gopło, bo już, już dobiegali właśnie starsi narodu, którzy widząc z daleka, co się dzieje i rozumiejąc to daleko lepiej niż chrześcijanie, śpieszyli ze wszystkich sił, machając rękami, dla zwrócenia uwagi cudzoziemców, lecz nie zwrócili jęj, i przybyli za późno.

Ansgary, nie zdziwiony wcale chytrą złośliwością malców pogańskich, patrząc smutno za nimi, nie dostrzegł wcale starców, dopędzających go narazie; stał on przez chwilę nieruchomy, a potem rzekł z dziwnie tkliwym uśmiechem, patrząc w oczy odbijającego od brzegu Chwostka:

— Za błogosławieństwo nie wymagam podarków, ale gdy mi je kto gwałtem daje tak, jak ty... to je przyjmuję... — i ręką otarł Ansgary z oczu piasek i próchnicę, rzucone nań wraz kamieniami.

— Na pohybel!... na pohybel!... — jężeli tymczasem starcy, wysłańcy narodu, którzy dobiegli w ostatniej chwili na miejsce spełnionej swawoli, stanęli z załamanemi rękoma i patrzyli za chłopakami, z jakąś grozą pełną powagi powtarzając ów wyraz:

— Na pohybel!... — po chwili jeden z nich przystąpił do Ansgarego i rzekł:

— Gość w dom, Bóg w dom; wszak z takim wy dobrém słowem do nas przybyli, o cudzoziem-

cy! Niechże swawola i srogość tych, którzy nad nami przewodztwo mają, nie odbierają nam waszego dobrego słowa; niech cały lud nie odpowiada za winy książęcia. Oto *Piast* stary Popielowego rodu, który tam ojca i synów *wypiautował* \*) wyprawia dziś także postrzyżyny swemu pierworodnemu, który się w jednym dniu z młodym książciem urodził. Pójdźcie z nami do jego chaty, a zobaczycie, że nie uczyni ona wstydu swęj ziemi, jako go książęcy zamek uczynił.

Tak mówiąc, otoczyli starcy cudzoziemców i z uszanowaniem gościom należnem wiedli ich do poblizkiej chaty, a za zbliżeniem ujrano również przed nią na licznych długich stołach zastawioną ucztę, ubogą wprawdzie lecz zaszczyconą tak licznymi gośćmi, że taka ilość życzliwych przyjaciół i księciuby zaszczyt przyniosła. Gospodarz Piast, zdaleka nowych gości spostrzegłszy, żywo i radośnie podążył ku nim, witając ich słowami:

— Gość w dom, Bóg w dom! wejdźcie, spożywajcie! spoczniście! — a widząc zdziwienie ich, dodał Piast z uśmiechem:

— Dziwicie się, świątobliwi mężowie, że witam was słowem, które wy sami na błogosławieństwo przynosicie ziemi naszej? dowiedzcież się, że to, co zaszło na książęcym zamku, szeroko się już rozniosło, a z tém i słowo to wasze; wielu gości zawstydzonych opuściło książęcą ucztę natychmiast i na moję tutaj przybyło, a wszyscy przyrzekliśmy sobie nie wypuścić was od siebie, dopóki nie zapomnicie wśród nas tego wstydu, jaki uczynił książęcy zamek naszym chatom ubogim.

Wszyscy Polanie, zgromadzeni w chacie i przed nią, obstąpili dwóch chrześcijan, witając ich serdecznie owém słowem ich własnem, które ludowi temu dziwnie się od razu podobało. Ucieszony i rozczulony arcybiskup ścisnął polańskich starców, jakby rodzonych, dawno niewidzianych braci, mówiąc:

— Niechajże to słowo, które się tak łatwo u was przyjęło, pozostanie między wami powitalnem słowem na zawsze! O bracia! Nie zawiódł mię stary niewolnik z waszego plemienia, na którego opowieść do was przybywam przed innymi.

Polanie, mężczyźni i niewiasty, otoczyli dwóch chrześcijan, staruszka jakaś zaczęła się dopytywać o niewolnika owego, bo jęj przyszło na myśl, że to mógł być jęj synaczek, za młodu kędyś zginiony. Ansgary nawzajem pytał o rodzinę owego starego niewolnika, który go o to prosił, ale sam nie chciał iść wraz z arcybiskupem, choć ten go już wykupił. Pocciwy Słowianin postanowił wprzód dopilno-

\*) Piast, piastun, wychowawca, stary sługa dworski. (tak tłumaczy ten wyraz Szajnocha).



wać wszelkiego dobra arcybiskupiego, i domu jego, i ubogich chorych na jego opiece będących, i dopiero po powrocie Ansgarego wrócić miał sam na Słowiańszczyznę, niosąc kości na spoczynek tam, gdzie ojcowe leżały.

Chrześcijanie i poczciwi poganie pobratali się i pokochali przy gawędce, a pierwsi z podziwem odczuwali jakąś dziwną od Słowian wiejącą tęsknotę, pomimo pozorniej ich wesołości, i pytali się wzajem siebie, czyli to nie za chrześcijańską prawdą lud ów tęsknił? W istocie, dziwny to był lud z tą dwoistością ducha swego, bo nawet piosenki, przez dziewczęta i dzieci śpiewane, były jak by z dwóch duchów spojone, smutnego i wesołego.

Gdy tak rozmawiano, a Piastowa żona jadła na stołach stawiać ukończyła, prosił Piast, synaczka przed chrześcijan przywiodłszy, aby sam Ansgary obrzędu postrzyżyn dopełnił, co gdy tenże chętnie uczynił i potulnego a roztropnego chłopaczka nazwał Siemowitem, rozpoczęła się uczta, i długo z ową tęskną wesołością, Słowianom właściwą, się przeciągnęła.

Sam Piast dziwne czuł jakieś serca rozdwojenie, bo najprzód uszczęśliwiony był niezmiernie, służąc dwom gościom cudzoziemcom, którzy niewiedzieć czemu, z każdą chwilą większe we wszystkich wzbudzali poszanowanie; a przytém smutno było Piastowi na myśl o tém, co zaszło w zamku. Gdyz jako piastun Popielowych chłopiat, przywiązany był on do nich poczciwie; a wraz z innymi źle musiał wróżyć dla nich z tego, co w tak uroczystym dniu zaszło. Ostatnia mianowicie

swawola Chwostka małego zgryzła Piasta okrutnie:

— O, nieszczęśliwe dziecko! — mówił z cicha Piast, potrząsając głową znacząco, gdy opowiedziano mu o błogosławieństwie podejsiem wyludzonem i kamieniami nagrodzonem. Ale ani razu Piast nie wymówił „na pohybel”, i nawet inni, wymawiając teraz ten wyraz, przyciszali głos, aby Piast tego nie słyszał.

Withmar, który na wszystko bacznie uważał,

zglębiając mowę i obyczaje Słowian, wśród których miał pracować przez resztę życia, jako w winnicy pańskiej, począł rozpytywać o znaczenie tajemniczego wyrazu, gdy tylko Piast do innych stołów się na chwilę oddalił. A starzec jeden zaraz odrzekł:

— Chcecie wiedzieć, co znaczy wyraz *na pohybel*? to jest klątwy i przepowiednia klątwy zarazem; straszny to wyraz i bardzo stary u nas, od ojców go mamy; znaczy, że ktoś sam na siebie ściąga gniew bogów, obracając *dobre na złe*. Dla tego biegliśmy ze wszystkich sił ku wam, gdyście Chwostka błogo-

stawili, aby błogosławieństwu przeszkodzić, bo spodziewaliśmy się po nim, że je ku swawoli obróci. A no stało się, więc mimowoli krzyknęliśmy ów wyraz w gniewie, ale i w przestachu, i słusznie; kto jeno dożyje, ten się przekona, że *na pohybel*, to jest na ciężkie *zło*, wyjdzie Chwostkowi to, co sam swawolnym figlem wywołał. Co ojce gadają, to zawsze prawda, choć nie zawsze rozumieją to dzieci. Zobaczycie, jak różnym będzie los tych dwóch chłopaków, Siemowita i Chwostka, którzy oto dziś



Pomnik granitowy w Zofiówce (str. 609).



dostali wasze błogosławieństwo. Ale błogosławieństwo jest to ziarno, które taki wydaje owoc, na jaki padnie grunt; więc ujrzycie, co się stanie z Siemowitem, który z rodzica wolą pokorną a wdzięcznym sercem przyjął wasze *dobre słowo*, a co z Chwostkiem, który je zdradliwie i ku wydrwieniu a swawoli wywołał!

— Na pohybel jemu wyjdzie! na pohybel! — szeptali inni starcy pocichu, a któryś dodał:

— Nie mówmy już lepiej o tej rzeczy, boć przykro to słyszeć pocziwemu Piastowi tych swawolników; kocha on ich, zwyczajnie jak przynależy wiernemu słudze, acz sam dobrze widzi ich swawolę, od której przecież my wszyscy cierpimy, a dobrze choć to, że nie są to plemiennicy nasi ci Popielowie, więc ani wstyd, ani żal za nich nie jest tak znowu wielki, jakby był za swoimi.

Po uczcie zagościli na czas dłuższy chrześcijanie w piastowej chacie, bo im tam jakoś było najmiliej, choć wszyscy Polanie dobijali się o zaszczyt ich goszczenia.

Wędrowcy, zwyczajem takich wędrowców, po przyjaźnili się i żyli niejako z gospodarzami swymi, dzieląc ich troski, prace i radości. Mianowicie dzieci miłe były Ansgaremu, i nawzajem lgnęły do niego, zbiegając się z odległych nawet okolic. Często też po całodzienną pracę, do której arcybiskup nie żartem rąk przykładął, zasiadał on na przyźbie chaty Piastowej, a naokół niego zgromadzał się cały przyszły naród Polan, pod postacią wielkiej rzeszy malców polańskich.

Mały Siemowit, nieodstępny ulubieniec, stawał w takim razie tuż u kolan Ansgarego, patrząc mu prosto w oczy i pochłaniając każde jego słowo, gdy tymczasem w oddali, po za węglami domostw, tu i owdzie zjawiała się i znikwała drobna a zręczna postać książęcego młodszego syna, swawolnika Chwostka. Chwostek podpatrywał te sejmy dzieciinne, płonąc ciekawością, lecz nie śmiejąc się zbliżyć po tem, co zaszło między nim i Ansgarym. Dałby był wiele, żeby mógł się tam wśród gromady poddanych swego ojca znajdować, ale uciekał zawstydzony, gdy go spostrzeżono. Przy tem podpatrywaniu i podsłuchywaniu odbywała się ciężka męczarnia w duszy książęcego syna, bo zazdrościł on innym dzieciom okrutnie i gorzko tych zgromadzeń, których celu nawet domyśleć się nie mógł, zazdrościł tak bardzo, że aż w niemocy swój począł gorzeć gniewem coraz to sroższym przeciw Ansgaremu i przeciw dzieciom, a szczególniej przeciw Siemowitowi za to, że z własnej przecież winy nie mógł tam stać tak, jak ten Siemowit, i słuchać *czegoś*, co mówił Ansgary. A jednak, gdy Ansgary, nieczując doń wcale urazy, chciał i jego do siebie przywabić, Chwostek uciekał, pokazując mu

język. Ten gniew bezsilny, jedno z najprzykrzejszych uczuć ludzkich, usposabiał coraz gorzej i tak złośliwą trochę duszę małego poganina, działało się z nią coś strasznego, bo stawała się coraz gorszą, czując to, i cierpiąc na tem. Zdawało się, jakby w istocie to, co zaszło między arcybiskupem i malcem pogańskim, wychodziło temu ostatniemu *na pohybel*, wedle wyobrażeń Polan. To pewna, że młoda dusza, w taki sposób pokierowawszy się na drodze żywota, łatwo bardzo już mogła iść po tej drodze coraz dalej, ze złego w gorsze.

Ansgary rozmawiał z Polanami o wszystkim, o co go zapytali, z ojcem przy wspólnej pracy, a z małymi na tych sejmikach przed chatą. Ale zawsze umiał rozmowami temi przygotować serca ich do zrozumienia, a raczej do wysłuchania prawd chrześcijańskich i do uwierzenia im. Co do malców, miał on zresztą daleko rozleglejsze i głębsze na nich widoki, i względem nich zamiary.

„Za główne narzędzie do apostolskich zamiarów „swoich” poczytywał św. Ansgar młode pokolenie „słowiańskie \*), do którego najczęściej zwracał „swoje nauki i w którym wszelkimi drogami wyszukiwał zdolnych na przyszłość zwolenników. „Mianowicie zaś kupował chłopców słowiańskich, „i brał ich z sobą na wychowanie do klasztorów „chrześcijańskich, aby wyuczywszy się tam nową „wiary, wrócili później do ojczyzny, jako tajni, „albo jawni rozkrzewiciele dzieła zbawienia. Jak „tych wielokrotnie w żywocie św. Ansgara wspomnianych chłopców słowiańskich, tak i Piastowego chłopca Siemowita przyswoili sobie obrzędem postrzyżyn apostołowie chrześcijańscy, skoryzy następnie do wspierania swym wpływem przy „każdej sposobności do jak największego podziwgnięcia u jego ludu”.

\*

\*

\*

Co zaszło w następnych kilkunastu latach w okolicy nadgoplańskiej, o tem wiadomo jest z historyi, która zebrała i zachowała szczątki podań rozerwane, ale niemniej przeto prawdziwe, o tych odległych czasach. Wiadoma jest zatem zbrodnia i śmierć księcia na Kruszwicy Popieła. Zajmując się wypadkami, dotyczącymi ogół kraju i główne osoby książęcej rodziny, zapomniano bardzo naturalnie o młodszym synu książęcym, nielubianym przez cały naród tak, jak nielubianym był cały ród Popielów, różny zupełnie charakterem od Polan. Polanie, pomimo pogańskiej religii, byli łagodnego ducha, jak tego historya dowodzi, opowiadając dzieje sprawdzone Piastowego rodu. Popiele zaś pochodzili od okrutnych

\*) Szajnocha: Lechicki Początek Polski.



rozbójniczych Normandów, którzy z północy, to jest ze Skandynawii i wysp morza Bałtyckiego (wówczas *Waregskiego* \*) zapuszczając się drogą wodną, to jest korytem rzek wielkich, wgłąb Europy, potrafili narzucić się na władców nie tylko samym spokojnym Polanom \*\*)

## II.

Szron brylantowy pokrywał młodociane wiosenne trawki na wybrzeżach groźnej Skandynawii. Słońce wschodziło, przeglądając się w szronach jasnymi, lecz niezbyt gorącymi promieniami. Zaszło za ledwo, i już wstało na nowo, choć było to niedługo po północy; ale takie ma zwyczaj słońce ponad Skandynawią. Z osady dość ludnej i zamożnej a rozległej, ponad wielkimi jeziorami, w głębi kraju wychodził tłum ludu, na dwie podzielony gromady.

Pierwsza i naprzód postępująca składała się z blisko pięćdziesięciu samych młodzieńców w wiosnie życia, od piętnastu do dwudziestu lat; ani jeden nie był tam starszy, ni młodszy, choć była ich tak znaczna liczba. Drugą gromadę składali starcy, dzieci i niewiasty, tłum ludu jednem słowem. Młodzieńcy mieli wszyscy długie i starannie utryfione włosy, suknie zwykłe normandzkie długie, podobne do chłopskiej sukmany, z wierzchu zaś bardzo krótkie płaszcze, ozdobione lub podbite futrem, a przybrane sznurami, guzikami i tym podobnymi ozdobami; wielu też miało skórzane odzienie na sobie, a wszyscy bez wyjątku mocno byli ubrojeni.

(D. c. n.).

## WĘGIEL I ŻELAZO.

### Pogadanka naukowa.

Podania mitologiczne prawie wszystkich ludów starożytnych opowiadają, że niegdyś, bardzo dawno, panować miał na ziemi wiek złoty, a wówczas wszyscy ludzie byli bardzo dobrzy, bardzo szczęśliwi, nie chorowali nigdy i nie doznawali żadnych cierpień. Jest to zapewne wspomnienie raju ziemskiego, które się przechowało wszędzie, gdy ludzie się rozproszyli po świecie. Według owych podań, po wieku złotym miał potem nastąpić wiek srebrny, a wtenczas już było trochę gorzej, nastąpił wreszcie wiek żelazny, gdy spadły na ludzi różne biedy, które ich trapić nie przestały.

Otóż nieraz zapewne zdarzyło się wam słyszeć,

jak w myśl tego bajecznego podania nazywają czasy, w których żyjemy obecnie, wiekiem żelaza i węgla.

Bo też rzeczywiście cały nasz przemysł nowożytny stoi niejako na żelazie i węglu, utrzymuje się jedynie za pomocą tych minerałów.

Żelazo nie darmo powszechnie jest dziś uważane za najszlachetniejszy metal na ziemi. Najbogatszy pałac, ani chatka najuboższa, żadna fabryka, żadne rzemiosło, żaden człowiek pojedynczy, nie obejdzie się bez żelaznych narzędzi. Od walców i szyn na kolejach, aż do igieł i nożyczek ubogiej szwaczki, wszystko się robi z żelaza.

Niemniej jest pożyteczny i węgiel. Owe niezliczone przyrządy, o walcach i kołach z żelaza, które całym zawładnęły światem, nie mogłyby działać, gdyby ich nie opalano węglem. Zastanowiwszy się nad tem, nikt nie zaprzeczy, że złoto i diamenty nie mają dla nas takiej wartości, jak żelazo i węgiel. Gdyby zabrakło w kopalniach złota i diamentów, niktby tak bardzo na tem nie ucierpiał, zastąpionoby je innemi jakimiś błyskotkami, ale cóżbyśmy poczęli bez żelaza i węgla?

Wszystko to są rzeczy dobrze znane, nawet i wam zapewne, młodzi czytelnicy. Może jednak nie przyszło wam nigdy na myśl, że nie tylko dla przemysłu, ale i dla życia człowieka, węgiel i żelazo mają ogromne znaczenie. Jeżeli macie ochotę posłuchać, opowiemy wam o tem, a wówczas dopiero zrozumiecie, jakim skarbem są dla nas te dwa minerały, które ani pięknnością powierzchowną ani blaskiem się nie odznaczają.

A najpierw trzeba wiedzieć, że wszystkie bez wyjątku ciała organiczne, to jest takie, które żyją obecnie, lub dawniej kiedyś żyły, zawierają w sobie cząsteczki węgla. Są one najczęściej ukryte, nie mają czarnej barwy zwyczajnego węgla, ale przy spaleniu rzecz na jaw wychodzi: i bułka, i mięso, i owoc każdy, jarzyna, jajko, wszystko, co tylko pochodzi z jakiej rośliny lub zwierzęcia, czernieje po przypaleniu na ogniu. Otóż to znaczy, że tam jest wszędzie węgiel.

Nie dość na tem, i w naszym ciele, we wszystkich jego częściach, znajduje się ten węgiel, pobieramy go z pokarmami, on życie nasze podtrzymuje. Przez oddychanie węgiel, krążący we krwi naszej, spala się bardzo wolno przy połączeniu z powietrzem. A wiecie przecież, że bez pokarmu, bez oddychania, nie byłoby życia.

Nie tyle już ważne jest żelazo, ale cząsteczki jego, mniej wprawdzie obficie, wchodzą jednak i do składu wszystkich prawie pokarmów, i naszego ciała. Wiecie o tem zapewne, że wiele innych metali, jak na przykład miedź, ołów, rtęć, mają własności trujące, nie można ich brać w usta, a lu-

\*) Nestor. \*\*) Szajnocha: Lechicki początek Polski.



dzie, którzy w rękodzielniach przy tych metalach pracują, cierpią zwykle na zdrowiu.

Żelazo przeciwnie, zamiast truć, uzdrowia i wzmacnia. Młode panienki miewają często chorobę, zwaną blednicą. Są wtedy zwykle bardzo blade, osłabione, łatwo się męczą, tracą apetyt, puls ich słabiej uderza. Jedynem lekarstwem na tę chorobę jest żelazo, zwykle też dają je bladym panienkom w pigułkach, lub mineralnych, żelazistych wodach. W Krynicy są sławne żelaziste źródła.

Dla czegoż żelazo w takim razie pomaga? Oto przekonano się, iż przy podobnem ogólnem osłabieniu krew zawiera za mało żelaza; bo zapomnieliśmy wam podobno powiedzieć, że krew nasza ma w sobie zawsze pewną ilość żelaza. Jeden uczony chemik powiedział nawet, że krew nie mogłaby istnieć bez żelaza. Nietylko we krwi, ale i w całym naszym ciele, w mózgu, w mięśniach i nerwach, w kościach, we włosach i zębach, znajduje się trochę żelaza.

Ciekawi jesteście zapewne, jakim sposobem ten metal dostaje się do naszego ciała. Tak samo, jak i węgiel, przez pokarmy, które pobieramy. Mięso, jaja, chleb, jarzyny, mleko, owoce, wszystko to zawiera w sobie cząsteczki żelaza.

Był czas, kiedy ludzie nie znali wcale żelaza w przemyśle swoim. Sporządzali siekierki z krzemienia, igły z ości rybich, i jakoś sobie musieli dawać rady. Ale i wtenczas nie mogli się obejść bez żelaza, spożywali je tak samo, jak i my, z rozmaitemi pokarmami, chociaż wcale o tem nie wiedzieli.

Dopiero w nowożytnych czasach ludzie zaczęli się bardzo pilnie zajmować przyrodą i wykryli mnóstwo wiadomości ciekawych, wyjaśniających zjawiska, które widzimy na świecie. Wszystko to, co ma blizki stosunek z życiem naszym i zdrowiem, najwięcej nas obchodzić powinno.

## Przygody młodych podróżników.

NA OKOŁO ŚWIATA.

### PROLOG.

Ostatnie dni sędziwego korsarza. — Ranek słoneczny. — Wierny majtek. — Fajka ulubiona. — Opowiadanie. — Mały wychowanec. — Życzenie ojca chrzestnego. — Plan podróży. — Dar szacowny. — Śmierć korsarza.

Było to w ostatnich dniach Września, na wybrzeżach francuskiej Bretanii. Jesień zapowiadała się pogodna i piękna, lekki wietrzyk powiewał od morza i unosił żółtkłe liście kasztanów aż na próg małego domku, o czerwonym dachu cegla-

nym i okiennicach zielonych, który się piętrzył jak gniazdo orle na skalistym wzgórku.

Wybiła godzina dziewiąta z rana.

U okna na wschód zwróconego, na wielkim skórzanym fotelu, zasiadł starzec, jak gołąb siwy. Na twarzy jego marsowej, pomimo śmiertelnej bladej, która ją pokrywała, malowała się pogoda i wielka moc ducha; na ustach pojawiał się uśmiech, zwłaszcza, gdy słońce, wychyliwszy się z za chmury, zaświeciło jaśniej i ciepłem swych promieni przeniknęło powietrze dokoła.

— To piękne słońce przypomina mi młode moje lata i dni spędzone na dalekim Wschodzie — rzekł starzec głosem drżącym, lecz pełnym jeszcze mocy.

Tu dał znak ręką sędziwemu słudze, aby się zbliżył do niego.

— Jakóbie — mówił dalej — nie sprzeciwiaj mi się, według chwalebego swego zwyczaju; choroby miewają zwykle zachcianki, otóż i mnie zachciało się jednej rzeczy i muszę sobie dogodzić.

— Kapitanie — odpowiedział przywołany sługa — wiesz dobrze, że za nic w świecie nie przystanę na to, co się sprzeciwia przepisom lekarza.

Na te słowa, chory rzucił się nagle na fotelu.

— Lekarza! A dalibóg prawda, mój Jakóbie. Zapomniałem na wieki, że ten stary rzeźnik z wojskowego naszego szpitala wziął mnie w swoje łapy. Od dni dziesięciu, odkiedy mi ten reumatyzm odjął siły i dawne rany się przypominały, uczony ten człek znęca się nademną, jak wróg najzacieśszy. Do miliona kartaczy... cóż to ja tych słodkich ziółek wypijać muszę i tych smacznych mikstur! Jeszcze i ty mu dopomogasz. Piękne mi napoje, niema co mówić, dla starego marynarza, który przez całe życie pijał tylko ratafią! Otóż widzisz, mój Jakóbie, to właśnie w skutek tych wszystkich obrzydliwości, takich mdłych i bez żadnego smaku, opanowała mię ta zachcianka. Wiesz co, podaj mi fajkę.

Jakób się zawahał.

— Co, o taką drobnostkę jeszczebyś się dawał prosić? — mówił dalej staruszek. — Cóż mi to może zaszkodzić, że sobie tę nędzną szczyptę tytoniu wypalę, i to na świeżem powietrzu, na powitanie pięknego jesiennego słońca. Ha! gdybym żądał od ciebie kieliszka anyżówki, to co innego, słuszeniebyś się sprzeciwiał. Ale fajeczka, to przecież rzecz najniewinniejsza w świecie. Nie, tego naprawdę odmówić mi nie możesz, toby się już nie godziło.

Jakób spoglądał na swego pana, a w oczach jego odbiło się lekkie rozrzwienie.

— Niema co mówić, kapitanie — rzekł wreszcie. — Darmo rozbieram w głowie wszystkie prze-



pisy pana doktora, o fajce nic zgoła przypomnieć sobie nie mogę. Ponieważ więc wyraźnego zakazu niema, gotów jestem spełnić żądanie pana kapitana, ale pod jednym warunkiem.

— Cóż to za warunek, nudziarzu?

— Że nie będziesz pan palić dłużej, jak dziesięć minut.

— Zgoda — rzekł starzec z uśmiechem — dobrze i dziesięć minut, byle się trochę w głowie rozjaśniło.

Gdy Jakób przyniósł fajkę w jednej ręce, a w drugiej piękny haftowany kapciuch, napełniony tytoniem, starzec mówił dalej:

— Mówiąc między nami, mój pocciwy Jakóbie, wszystkie te przepisy doktora i wielkie ostrożności tyle warte, co groch na ścianę. Po co mi zabraniać jeszcze tego lub owego, kiedy ja, czy tak, czy owak, nie długo już pociągnę, dobrze ja to czuję.

— Kapitanie, nie mów pan tego; poco to martwić starego, wiernego sługę. Pan teraz daleko lepiej znów wyglądasz, byle tylko zimę przebyć, a na wiosnę odżyjesz pan niezawodnie.

— Jakóbie, bredzisz, a ja nie jestem taki szalony, ażeby ci miał wierzyć. Wiem ja doskonale, co się ze mną dzieje. Zabrakło w lampie oliwy. Czy dziś czy jutro, nie wszystkoż to jedno, skoro już przyszła pora wybierać się na tamten świat? Ty wiesz zresztą, żem ja przez całe życie śmiało śmierci zaglądał w oczy, jak prawemu korsarzowi przysiało.

Starzec ten był w rzeczy samej jednym z najdzielniejszych francuzkich korsarzy \*). Przez lat trzydzieści był on postrachem Anglików, a teraz dóżywszy sędziwego wieku, zbliżał się do kresu swęj ziemskiej pielgrzymki. Ostatnie dni jego upływały w spokoju, pod skromnym wiejskim dachem, a stary majtek, który był towarzyszem wojennych jego zapasów i świadkiem czynów bohaterkich, pielęgnował go teraz w chorobie. Na łożu śmiertelném był on równie odważny, jak na placu boju, nie przerażała go wcale ta ostatnia walka i ostatnia nawałnica, jak się wyrażał o śmierci.

Jakób podał ognia do fajki.

— Powracam do tego, co chciałem powiedzieć przed chwilą — rzekł stary korsarz — zażądałem dziś fajki, bo mi łatwiej myśli zebrać, gdy pocią-

gnę wonnego tytoniu, a potrzebuję się zastanowić nad pewném subtelném zadaniem, które mam rozstrzygnąć w ostatniej mojej woli.

Tu kapitan pociągnął parę razy z fajeczki i puszczając powoli obłoczki dymu, tak mówił dalej:

— Będzie już temu lat cztery, jeszcze mi wówczas nogi dobrze służyły, powracałem piechotą z miasta, podpierając się moją starą laseczką. Wieczór zapadał, gdy na zakręcie drogi ujrzałem przed sobą kobietę, zanoszącą się od płaczu. Ba, serce nie kamień, nawet u człowieka, który całe życie spędził na pomoście, pomiędzy niebem i wodą, a z siekierą w ręku siadywał na baryłkach prochu. Widok ten témbardziej mię rozczył, że w płaczącej kobiecie poznałem siostrę starego towarzysza broni, Łukasza Kergorieu, niegdyś sternika na moim okręcie, ukochanym „Pogromie”.

— Czegoż to tak rozpaczasz, Joanno? — zapytałem.

— Kapitanie — odrzekła, ocierając oczy końcem fartucha — straszne, podwójne nieszczęście spadło na biedną moją rodzinę. Brat mój Łukasz zginął w okolicy ziemi Van-Diemen, gdzie wybrał się na połów wielorybów. Wczoraj przywiózł tę smutną wiadomość okręt, który w tych samych stronach żeglował.

— Biedny Łukasz — zawołałem — taki dzielny marynarz, taki zacny człowiek. Wielkie to rzeczywiście nieszczęście, moja Joanno.

— Ach! kapitanie, nie koniec na tém.

— Cóż jeszcze?

— Wszak wiadomo panu, że Łukasz niedawno się ożenił z młodą i bardzo pocciwą dziewczyną. Straszliwa wieść nadeszła właśnie w chwili, gdy bratowa moja wydała na świat ślicznego chłopczyka, rumianego jak wisienka.

— Cóż dalej, Joanno?

— Kapitanie, biedna kobieta tak się zgryzła, że we dwie godziny Bogu ducha oddała. Dziecina została sierotą, bez ojca i matki.

A mówiąc to, znowu zalała się rzewnemi łzami. Tego już znieść nie mogłem obojętnie i biorąc ją za rękę:

— Joanno — rzekłem — w tém się mylisz po części. Dziecię wprawdzie niema ojca i matki, ale nie będzie zupełnie osierocone, bo znajdzie we mnie ojca chrzestnego, który mu rodziców zastąpi. Jestem już wprawdzie bardzo stary i niedługo zapewne pożyję, ale biorę tego chłopca za swego. Dzień się wola Boża. Jeżeli już sam nie będę miał czasu go wychować, to przynajmniej pomyślę o jego przyszłości. Joanna znowu rzewnie się rozpłakała.

— Ale musiała już płakać inaczej trochę, ka-

\*) Ta nazwa korsarz nie zawsze oznacza rozbójników morskich. We Francyi, w czasie wojen prowadzonych z różnemi narodami, przy końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia, nazywano korsarzami dowódców okrętowych, którzy nie należeli do armii regularnej, ale jako ochotnicy, niemniej szlachetnie na czele swojej załogi walczyli w obronie kraju i tylko nieprzyjaciół napadali na morzu, według praw wojennych.



pitanie — odezwał się stary Jakób, który słuchał uważnie opowiadania swojego pana.

— W rzeczy saméj, w oczach jęj przez łyż przeglądało teraz coś jakby odcień pociechy. Biedna kobieta dziękowała mi gorąco, a ja byłem szczęśliwy. Tegoż samego wieczora przyniesiono mi do domu kolebkę, w której spał synek Łukasza i od téj chwili ja i ty, stary przyjacielu, nie przestaliśmy czuć nad tym malcem. A hultaj odrazu przypadł nam obu do serca. Na moich kolanach wprawiał się do konnej jazdy, przysłuchując się piosenkom, których się wyuczyłem w różnych częściach świata, a ty poileś go mlekiem kozy, przyjętej na mamkę. Nasze starania wyszły mu na dobre, chłopak rośnie jak na drożdżach, biega doskonale, widać już teraz, że będzie silny i żwawy. Mam nadzieję, że Robert wstydu mi nie robi, jak urośnie i godnie nosić będzie moje imię, które mu na chrzcie dałem. Ale teraz, mój pocciwy Jakóbie, ja już wkrótce połączę się z jego ojcem.

Kapitan umilkł na chwilę i pociągnął z fajki, potem dodał:

— Otóż to o tém chciałem się z tobą rozmówić.

— Słucham, kapitanie.

— Pojmujesz, że dziecię naszej Bretanii, syn dzielnego Łukasza, trzymany do chrztu przez starego kapitana korsarza, piastowany przez Jakóba, nie może być czém inném, tylko marynarzem. Bywają jednak na tym świecie dziwne szyderstwa losu. Któż wie, jakie tam z wiekiem wrodzone zdolności rozwiną się w tym chłopaku. Jabyłem chciał, żeby został żeglarzem, jak wszyscy ludzie najporządniejsi. Tymczasem on może mieć ochotę do stanu adwokata, urzędnika, jakiegokolwiek gryzipiórka. Trzeba koniecznie tę wątpliwość rozjaśnić i ja obmyśliłem na to sposób, ale musisz mi w tém dopomóc, stary przyjacielu.

— Kapitanie, jestem na twoje rozkazy; wiesz dobrze, iż spełnię je wiernie.

— Posłuchaj więc. Po mojej śmierci, która nastąpi niezadługo, dziecię zostanie i nadal pod twoją opieką. Staraj się rozwijać w nim upodobanie do morza, niech się bawi jak najczęściej na wybrzeżu, i ciągle widok oceanu ma przed oczyma, opowiadaj mu często o chrzestnym ojcu i o dawnych naszych wyprawach. Gdy Robert dojdzie do lat piętnastu, odbędziesz z nim długą żeglugę. Przeznaczyłem na to fundusz osobny, który ci doręczy mój prawnik. Dobierzesz chłopcu dwóch towarzyszy jego wieku i puścisz się razem z nimi w podróż naokoło świata. Zwiedzicie Arabią, Egipt, przepłyniecie morze Czerwone, zajrzycie do Persyi, Indyi, Chin, Japonii, wreszcie zapoznać się z Ameryką i z archipelagiem, zwanym

Oceanią. Po powrocie z téj wędrówki, będziesz już wiedział, czego się trzymać. Jeżeli Robert nie okaże wielkiego zamiłowania do słonej wody, do wspaniałych widoków zamorskich krajów, do rozkosznego życia wśród przygód i niebezpieczeństw, jeśli spostrzeżesz, że woli spokój i jednostajność, wykierujesz go na prawnika, zrobisz z nim zresztą, co będzie można. Ale jeśli chłopak nie zblednie wśród nawałnicy morskiej, jeśli sam wyrwać się zechce w świat daleki, i polubi zawód żeglarza, w takim razie przeczytasz rozporządzenie, jakie pozostawię w ostatniej mojej woli i zastosujesz się do niego. Czy zrozumiałeś mię dobrze, Jakóbie?

— Doskonale, kapitanie, nie przepuściłem ani jednego wyrazu.

Długa ta rozmowa znużyła nieco sędziwego kapitana. Zamilkł na dłuższą chwilę, potem rzekł znowu:

— Jakóbie, pocciwy z ciebie i wierny sługa. Nie zapomniałem o tobie w testamencie, zanim jednak ten zapis otrzymasz, muszę ci ciepłą ręką ofiarować dar, z którego zapewne będziesz zadowolony.

— Jaki dar, kapitanie? — zapytał stary majtek.

Kapitan wyjął z ust piękną swoją fajkę z burztynowym końcem, i rzekł z uśmiechem:

— Na, masz; paliłem ją dziś po raz ostatni, teraz tobie pozostawiam tę fajkę w spuściźnie.

— Kapitanie, czy to być może, dajesz mi pan własną swoją fajkę?

— Wszak pamiętasz, że zapalałem ją zawsze na widok nieprzyjaciela. Anglicy znają się dobrze z tą fajką, dym jęj trwożył ich zarówno, jak dym armatni. Wszyscy francuzcy marynarze spoglądali na nią z dumą i radością. Ty, Jakóbie, byłeś dzieckiem prawie, gdy wstąpiłeś po raz pierwszy na pokład mojego okrętu. Od téj pory, przez lat trzydzieści, nie odstępowałem mię ani na jedną chwilę, na morzu, a potem i na lądzie, wiernie trwałem przy mnie. Ta fajka po mojej śmierci nie może przejść w lepsze ręce.

Mówiąc to, kapitan podał fajkę pocciwemu Jakóbowi, który nie mógł powstrzymać wzruszenia.

— Co widzę, Jakóbie! — zawołał korsarz — do kroćset kartaczy! czy mi się zdaje, czy ty naprawdę płaczesz? Wstydz się, stary marynarz, stary wiarus! No, dajże pokój z tą niewczesną czułością, a nie zapomnij o tém, co ci poleciłem.

Jakób się odwrócił, aby ukryć łyzy, które gwałtem cisnęły mu się do oczu.

— Kapitanie — rzekł po chwili, pokonawszy smutek i usiłując udawać wesołość — wszystko to mnie trochę poruszyło, wyznaję szczerze. Są rze-



czy, o których niepodobna mówić obojętnie. Ba! ja na tę fajkę patrzałem zawsze, jak na coś świętego. Ale nie masz pan potrzeby tak się z tém śpieszyć. Jeszcze ona się przyda i panu, jeszcze pan sobie wypalisz nie jeden kapciuch tureckiego tytoniu, Bóg łaskaw.

— Mój Jakóbie, daj pokój, nie oszukasz starego wygi. Z wolą Bożą zgodzić się trzeba. O mnie się nie troszcz, jestem w porządku i gotów stanąć do apelu, tak samo i teraz, jak dawniej przy odgłosie armat. Bądź mężny, przyjacielu, i słowa moje zachowaj w pamięci.

Mówiąc to, uściśnął serdecznie] dłoń starego sługi.

W trzy miesiące po téj rozmowie, sędziwy kapitan korsarski już nie żył.

— A teraz niema dla mnie nic na całym świecie, oprócz tego dziecka — mówił Jakób, ocierając łzy rzewne, których nie powstrzymywał nawet. — Muszę żyć jeszcze dla niego, boć to syn chrzestny mojego kapitana.

## I.

Pogrzeb kapitana. — Wychowanie Roberta. — Upór pokonany. — Szkoła. — Opowiadania marynarza. — Rok czterysty. — Henryk. — Wędrowny mały muzykant. — Przygody Marka. — Wieczera. — Przygotowania do podróży. — Dalej w drogę.

Sędziwy korsarz znany był i poważany w całej okolicy. Tłumy ludu zebrały się w dzień jego pogrzebu i postępowały w żałobnym orszaku. Tuż za trumną siedł z głową pochyloną stary majtek, trzymając za rękę małego chłopczyka. Czytelnicy nasi odgadli zapewne, że to był Jakób i mały Robert, chrzestny syn nieboszczyka.

Jakób co chwila obcierał oczy i powtarzał sobie w duszy:

— Trzeba panować nad sobą. Kapitan łez nie lubił.

Niezwykły widok pogrzebu przejął dziecię smutkiem głębokim, chociaż dobrze nie pojmowało swęj straty; powiedziano mu tylko, że za powrotem do domu nie zostanie tam już kapitana i chłopczyzna płakał rzewnie, bo kochał niezmiernie ojca chrzestnego i nigdy się z nim jeszcze nie rozstawał.

Gdy po ukończeniu smutnego obrzędu, mały Robert wrócił ze starym majtkiem do pustego mieszkania, zapytał go w dziecięcej swęj mowie:

— Mój Jakóbie, powiedz mi, czy jak kto umrze, to już na zawsze?

— Tak, moje dziecko, na zawsze.

— Więc ja już nigdy nie obaczę chrzestnego ojca?

— Nie obaczysz go w tém życiu; ale posłuchaj

mnie, Robercie. Twój chrzestny ojciec umarł wprawdzie na ziemi, ale żyje na innym, lepszym świecie i z tamąd patrzy na ciebie. Zawsze też czuwa nad tobą i czasem przezemnie przesyłać ci będzie rozkazy; czy chcesz mu być posłusznym, Robercie?

— O, będę, będę posłuszny — odpowiedziało dziecię.

Stary Jakób wiedział dobrze, iż takim sposobem najłatwiej sobie zapewni uległość chłopca i nauczy go szanować pamięć zmarłego opiekuna. Dom kapitana pozostał i nadal mieszkaniem wiernego sługi i dziecięcia.

Rzewny był widok tego sędziwego marynarza, który pielegnował małego swego wychowanka z macierzyńską prawdziwie troskliwością. Gdy Robert podrósł trochę, Jakób podzielał zabawy chłopaka, jak gdyby był jego rówieśnikiem. Zabawy te, według zalecenia kapitana, odbywały się zawsze na morskiem wybrzeżu. Do lat siedmiu Robert używał zupełnej swobody, roztropny opiekun myślał tylko o rozwijaniu zdrowia i sił fizycznych wychowanka; pozwalał mu biegać do woli, przewracać koziółki na piasku, uczył go pływać, zwiedzał z nim często okręty i uśmiechał się z zadowoleniem, gdy malec według jego wskazówek próbował wdrapywać się na maszty. Robert był silny, zwinny i zręczny jak kot, piękniejszego i roztropniejszego dziecka nie było pewnie w całej Bretanii.

Gdy już ósmy rok zaczął, stary Jakób rzekł do niego pewnego rana, na wpół żartem, a na wpół poważnie, głaszcząc jego jasną główkę:

— Ho, ho, Robercie! Dzielnym z ciebie chłopak. Zdrow jesteś, silny i duży na swój wiek. Ale to jeszcze nie dosyć; ażeby się stać co się zowie porządnym człowiekiem, trzeba, oprócz silnej budowy ciała, mieć także umysł wykształcony, a przede wszystkim wyuczyć się dobrze abecadła, bo w tych małych, niepozornych literkach mieści się mnóstwo pięknych i ciekawych rzeczy. Jutro pójdziesz do szkoły, wiesz, tam o dwa kroki, gdzie nauczyciel uczy wiejską dziatwę.

W pierwszej chwili mały Robert się skrzywił. Trudno wymagać, ażeby dziecko, które się bawi swobodnie od rana do wieczora, nie okazało trochę niezadowolenia, gdy go naraz zaprzęgają do pracy i do karności.

— Co, co! — wołał chłopak nadąsany — ja bym miał iść do szkoły i siedzieć tam codzień?

— Nie może być inaczej, moje dziecko.

— Ale kiedy ja wolę biegać przez cały dzień i wozić się w baciku, i rzucać kamyczki w wodę.

— Ale w szkole nauczysz się czytać w pięknych książeczkach.

— Kiedy ja wolę drapać się na drzewa, zbierać szyszki po lesie i zaglądać do gniazdek ptasich.

— W szkole nauczysz się pisać ładne literki na papierze.

— Ja wolę siedzieć w przystani i patrzeć na piękne okręty, wracające z Konstantynopola i z Nowego Yorku, z Turkami, z papugami i różnemi prześlicznymi towarami.

— W szkole będziesz się uczył geografii, ażebyś mógł sam kiedyś trafić do tych dalekich krajów.

Robert jednak na to wszystko kręcił główką i nie chciał zrozumieć, ażeby lepiej być miało i pożyteczniej siedzieć na ławkach szkolnych, aniżeli swobodnie bujać po morskiem wybrzeżu.

Jakób nakoniec wziął się na inny sposób, odwołał się do serca i pamięci dziecka, mówiąc:

— A czy ty wiesz, Robercie, że to ojciec twój chrzestny każe ci iść do szkoły i uczyć się pilnie.

— Pójdę do szkoły jutro rano — odrzekło dziecię głosem wzruszonym i pełnym uszanowania.

Jakób uściśkał je serdecznie.

Chłopak przez dwa lata pobierał w szkole wiejskiej początkowe nauki, a ponieważ był bardzo roztropny i zdolny, więc w tym przeciągu czasu wyuczył się doskonale wszystkiego, co umięją zazwyczaj dzieci jego wieku, wychowane starannie.

— Ho, ho! — rzekł Jakób — ten mały zuch już umie tyle, co i nauczyciel, a trzeba, żeby się nauczył jeszcze czegoś więcej.

Wówczas stary Jakób przeniósł się z Robertem do poblizkiego miasta St. Malo i zaczął go posyłać do średniego zakładu naukowego, w którym kształcili się synowie najdostojniejszych rodzin. Prostý majtek wiedział dobrze, iż w zawodzie marynarza, tak samo, jak w każdym innym, potrzeba mieć naukę, ażeby zająć wysoko, a on chciał, by syn chrzestny ukochanego jego kapitana mógł sięgać śmiało do najwyższych godności.

Oprócz nauk szkolnych, Robert uczył się szermierstwa, wyrabiał siły i zręczność. Wychowanie i imiennik dzielnego korsarza powinien był zawczasu zapoznać się z bronią i sposobem jej używania. Jakób pamiętał także o tém, aby chłopiec miał pod ręką biblioteczkę, stosowną dla swego wieku. Z wielką roztropnością wybierał po większej części takie książki, które w nim mogły rozbudzić upodobanie do żeglugi i dalekich podróży. Domyślcie się zapewne, że na pierwszym miejscu

znajdował się tam ulubiony przez młodzież wszelkiej narodowości *Robinson Kruzo*.

— Już jeżeli przy tém czytaniu nie zasmakuje w życiu marynarskiem, to chyba naprawdę będzie miał jakiś wrodzony wstręt do słonej wody. W takim razie nie potrafię go wyprowadzić na ludzi ani spełnić życzenia ukochanego mego kapitana. Ale w Bogu nadzieja, jeszcze ja dożyję tego szczęścia, abym z nim razem wstąpił na pokład okrętu.

(D. c. n.).

### Łamigłówka głoskowa.

|   |   |   |   |  |
|---|---|---|---|--|
|   | m | e |   |  |
|   | p | l |   |  |
| p | z | ą | s |  |
| k | l | k | y |  |
| z | d | d | a |  |
|   | o | o |   |  |
|   | o | r |   |  |

Z tych liter rozsypanych ułożyć znane przysłowie.

### Łamigłówka w kwadraciku (Z. W.).

W kwadraciku z 9 przedziałek ułożyć: 3 A — 3 K — 3 R aby odczytać w obu kierunkach: 1) Nazwę ludu. 2) Skorupiaka. 3) Miarę francuską.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Łamigłówki w kwadraciku:

|   |   |   |   |
|---|---|---|---|
| J | G | Ł | A |
| G | R | A | D |
| Ł | A | T | A |
| A | D | A | M |

### Męczygłówki

Pastuszek, strатовawszy owies, począł umykać; *goni* za nim polowy i *wola*: „Czekajno, czekaj, powiem ci coś ciekawego”. „Nie chcę” krzyknie *pastuszek*, umykając, „Czy to nie *wiecie*, że ciekawość pierwszy *stopień* do piekła?”